

Klinika Lalek. Z Międzyplanetarnego Królestwa Sztuki

Opowieści te dedykujemy wszystkim tym, którzy szukają sposobu na życie. Także tym, co nie wierzą, że naprawdę można żyć w zgodzie ze sobą, w zgodzie z miejscem i tym, co je stanowi. Że naprawdę przy pomocy bardzo skromnych środków można działać wie/e, dla konkretnego miejsca a zarazem dla wielu miejsc. Dla siebie i dla innych, dla tego co teraz: tego, co będzie kiedyś. I że można całkiem konsekwentnie znaleźć się w swojej autentycznej roli, bez przemocy, z pokorą i szacunkiem, i z miłością...

Stacja Wolimierz

zaprasza do udziału w pracy i zabawie, rytuale i niekończącym się święcie wszechrzeczy. Pracownia techniczno-teatralna, galeria-herbaciarnia, pole namiotowe i pole do popisu! Sala teatralno wykładowa, miejsca wlotów fantazji, a wszystko to w ramach *instytutu przemiany czasu w przestrzeń*.

Zgłoszenia niekoniecznie prosimy kierować do *kancelarii królewskiej* (adres na końcu). Przyjeżdżając bez zgłoszenia, ale w odpowiednim czasie, można trafić na spektakl teatralny „Poemat o słońcu i księżycu”. Lub na inscenizację opowieści „Uwolnić kruka”. Lub może akurat na warsztaty teatralne dla dzieci, parady uliczne czy koncerty.

Wszystko zaczęło się w 1987 roku, w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej, na wydziale lalkarskim.

Od początku zakładaliśmy, że ze studiów wyjdziemy jako samodzielny, samowystarczalny teatr i że zamieszkamy razem, gdzieś, w jakimś pięknym miejscu, gdzie będzie dość przestrzeni (fizycznej i duchowej) i wolności do realizacji naszych planów i marzeń. W czasie studiów braliśmy udział w Jeleniogórskim Festiwalu Teatrów Ulicznych, którego uczestnicy odwiedzają małe miejscowości wokół Jeleniej Góry. Zналиśmy więc urodę okolic i istniejące tu możliwości: liczne puste domy, karczmy a nawet pałace od lat pozbawione właścicieli, popadające w ruinę. Wydawałoby się, że w zamian za ocalenie możliwe są do przejścia za darmo. Rzeczywistość była jednak inna. U nagabywanych burmistrzów w mig odezwał się zmysł przedsiębiorczości. Podziałała wyobraźnia i zrodziła się nadzieja na „życiowy” interes. Nie chcieli oddać za darmo. Nie znaleźli jednak bogatych nabywców i wiele z tych wspaniałych jeszcze wtedy obiektów posunęło się w zniszczeniu do tego stopnia, że dziś już nie przedstawiają żadnej wartości, a szanse na przetrwanie są znikome. Teraz burmistrzowie proszą, żeby brać, tyle, że nikt tego już nie chce. Ot, głupota ludzka.

Do Wolimierza przyjechaliśmy za namową znajomego, całą ekipą i zakochaliśmy się w jego dzikości i przestrzeni. Burmistrz Leśnej okazał się otwartym człowiekiem, zgodził się nieodpłatnie przekazać nam zrujnowaną karczmę, a nawet wskazał inne opustoszałe obiekty, które jako Fundacja Na Rzecz Wspierania Kultur Alternatywnych mogliśmy przejąć lub tanio kupić. Wkrótce okazało się, że w najbliższej okolicy mieszka już kilka rodzin „nowoosadników”, przybyłych w ostatnich latach, z miast. Szybko zaprzyjaźniliśmy się z nimi i rozpoczęliśmy życie na wsi, wzajemnie sobie pomagając i ucząc się od siebie wszystkiego, co okazywało się konieczne lub wskazane w nowych warunkach. Zabraliśmy się za remonty prześcigaliśmy się wręcz w pomysłach i sposobach działania. I zawsze wychodziło to „ekologicznie”. Biorąc stare domy siłą rzeczy zwracaliśmy się ku tradycji, zeszkrobując liczne warstwy farby olejnej z czasów komuny i odkrywając piękno i siłę naturalnego drewna,

odzyskując stare cegły z okolicznych ruin, czy stosując miejscowy kamień, znaleziony na polu. Większość nowoosadników stanowili ludzie młodzi i niebogaci, z którymi z radością realizowaliśmy podstawową zasadę ekologii głębokiej: skromne środki, bogate cele, więc odnawialiśmy starą szafę z kurnika babci sąsiada, wymienialiśmy się produktami z ogrodów, ubrankami dla dzieci, pracowaliśmy razem i uczyliśmy się od siebie, w ten sposób spełnialiśmy nasze marzenia i robimy to nadal z całą falą ludzi, która przez te 5 lat przewinęła się przez Wolimierz i okolicę, a niektórzy z nich osiedlili się na stałe.

Pewnie, że chcielibyśmy więcej działać na rzecz czy to wspólnoty, czy bioregionalizmu, pielęgnowania tradycji, czy wprost dla ratowania Matki Natury. Plany mamy cudne i to całe mnóstwo, ale często walka o byt, walka z głupotą i zacofaniem, z biurokracją zabiera nam cały czas. Nie znaczy to jednak, że nie ma czasu na świętowanie. Po to tu jesteśmy, by jako teatr nieść święto w Wolimierzu, okolicy, w Polsce i na świecie. Teatr spełnia dla nas wspaniałą rolę integrującą. Czy to zawsze, czy sporadycznie, ale WSZYSCY w nim uczestniczymy. Wspólnie budujemy maszyny, robimy kostiumy, podróżujemy i występujemy. Np. Księżycową Maszynę na dwa cylindry Wiktor zbudował z miejscowym kowalem, panem Papciakiem, inspirując się grabiarką. Tęczowego smoka wymyśliły dzieciaki z Przeczniczy, wyrzeźbił Romek, a pomalowała Papryka.

O kontaktach i współżyciu z miejscową ludnością, osiadłą tu po wojnie, niełatwo opowiadać. Teraz to w większości starzy ludzie. Dziesiątki lat żyli w strachu, czy i kiedy ich znowu przesiedlą. Nigdy nie czuli się u siebie. Po estetyce i stanie technicznym domostw widać ich stosunek do „miejsca”. Tutejsi radni nas popierają, ale jest taki jeden, który najchętniej by nas młodych i ostatnio osiadłych wygonił, tak jak to zrobiono z całą dotychczasową „młodością”, która się tu po wojnie pojawiła. I ciągle czekamy na decyzję radnych; dadzą nam Stację, czy zmuszą do udziału w przetargu, a to oznacza, że będziemy mogli nabyć Stację za sumę rzędu 400 milionów starych złotych. (Stacja, to obecne centrum działalności teatralnej, warsztatowej i wszelakiej. To wspaniale odremontowana, autentyczna, stara stacja kolejowa, już nieczynna. Gdyby nie wysiłek fizyczny, umysłowy, niebagatelne środki materialne i wielkie serce włożone w uruchomienie tego ośrodka, obiekt dziś istniałby co najwyżej w formie daleko posuniętej ruiny - ML).

Ale my się nie damy. Będziemy szli. Jak do tej pory, udawało nam się znosić kolejne ciosy, traktując je jako przeszkody na drodze do celu. Po roku działań w karczmie, działań w postaci prób, koncertów, spektakli, remontów i warsztatów, w środku dnia, w ciągu godziny spłonęła na naszych oczach. Przyjaciele pomogli nam pójść dalej i w kolejnym opustoszałym, zniszczonym domu w centrum wsi zatętnił życiem klub. W grupie 30-40 osób z okolicy, oraz przy pomocy przyjeżdżających przyjaciół organizowaliśmy cykliczne święta: Festyn Letni, Dożynki, Andrzejki, Święto Zmarłych, Święto Wiosny, Majówka, Wielkanoc, Noc Świętojańska. Były też liczne koncerty i potańcówki. Nagle okazało się, że ten działający dzięki nam obiekt jest niezbędny pewnym starszym paniom. Oddaliśmy klub i wtedy udało nam się przejąć budynek stacji, o który walczyliśmy dwa lata. To dla nas najlepszy przystanek. Miała być i jest sercem naszych działań: edukacyjnych i kulturotwórczych, promieniuje pozytywną energią na bliższą i dalszą okolicę tej zapomnianej, niekochanej i niszczonej ziemi. Marzy nam się pokierowanie tutaj, na obszarze Królestwa, ekspansją Zachodu - nieuniknioną przecieź - w jak najłagodniejszym kierunku. Celem ostatecznym oczywiście Raj na Ziemi: szczęśliwi ludzie, szczęśliwe zwierzęta, cała Natura....

Jeśli chodzi o dzieci to ja jestem ekstremalna. Uważam, że nie należy ich mieć w mieście. To zbrodnia skazywać je na wychowanie w smrodzie spalin, w betonowych klatkach, bez przestrzeni i przyrody! Nasze dzieciaki to jest mocna załoga! W lecie, po łąkach biega średnio 10-osobowa grupa od 2 do 9 lat i wszystkie razem świetnie się porozumiewają. Robią sobie ogniska, wyprawy do lasu, przynoszą mleko. Na naszych imprezach spotykają się dzieciaki z całej okolicy. Zawsze dla nich jest specjalny program, ale też bawią się razem z dorosłymi. Wszystkie wykarmione piersią i otwarte na świat. Dwa lub trzy razy w tygodniu dzieci od 3 do 6 lat spotykają się w Gajówce, gdzie Petra i Bernard rodem

z Berlina prowadzą ekologiczne przedszkole. Wkładają w nie całe swoje serce i robią to naprawdę świetnie. Organizują dzieciom zajęcia rozbudzające miłość do Natury, zdolności twórcze, a wszystko w duchu zabawy. Zabawki wyłącznie proste, drewniane, a ostatnio Petra zrobiła plastelinę z mąki ziemniaczanej, którą dzieci mogą jeść! Mamy świadomość, co lepsze i tego uczymy nasze dzieci, ale ich wybór będzie ich wyborem. Jeśli zwieją kiedyś wszystkie do miast, to też będziemy musieli to zaakceptować. Ale może wówczas nie będzie już miast?

W ciągu 5 lat przez Wolimierz przewinęły się setki ludzi. Wielu z nich deklarowało chęć pozostania na zawsze. Udało się jednak tylko tym, którzy, mówiąc najprościej potrafią dać sobie radę (z życiem), tzn. potrafią zimą narąbać drzew, napalić w piecu, zdobyć środki na opał, jedzenie itd. Obiboki i nieroby odpadały w przedbiegach. Na wsi jest harowa, ale taka, jaką dyktują rytmy przyrody, a nie szef. Ci, którzy mieszkają obecnie, to silne osobowości. Andrzej znawca zwierząt, tęczy wojownik, wspaniały artysta plastyk. Witek – bębniarz, który sztukę robienia bębnow monolitycznych opanował do perfekcji.

Romek, kolejny multitalent, znany najbardziej jako artysta zdun. Mietek – malarz, Ewa Złotopotocka – niezła czarownica, masażystka. Rodzina z Przeczniczy (13 osób) – plastycy szyjący odzież artystyczną, inspirowaną folklorem izerskim, czyli wszystkim co dookoła. Bardzo ważny jest dla nas ten folklor, chcemy go odtworzyć, wykreować, bo przez 50 lat był nieobecny. I tak, w gronie osób, z których oczywiście nie wymieniłam wszystkich, spotykamy się wspólnie przygotowując święto. Każdy wnosi część siebie, część swojego kosmosu. Kiedy np. przychodzi Święto Wiosny, każdy dom przynosi swoją potrawę z pszenicy, marzannę i każdy przystraja się w kwiecisty, uroczysty kostium. Kręcimy woskowe świece, palimy ognisko, idziemy razem do lasu, gdzie Andrzej odkrywa przed nami tajemnice Natury, potem wernisaż, parada teatru przez wioskę w asyście naszych i tubylczych dzieci. No i Witek wyciąga swoje zaczarowane bębny i bębni się do rana... Współpraca przeplata się z współzabawą.

Jest wśród nas wielu ludzi z zagranicy. Są wspomniani już Niemcy, Amerykanie, Holendrzy. Różnią się od nas niewiele, a jeśli, to kulturowo. Holendrzy lubią nienaganną czystość, szokuje ich rozplenione w okolicy złodziejstwo. Niemcy często w opozycji do niemieckiego porządku uwielbiają prymitywne warunki, szybko się aklimatyzują, uczą polskiego i w ogóle dobrze sobie radzą. U ludzi z Zachodu dostrzegam jednak dużo większą świadomość ekologiczną. Kiedy ja „zjechałam” na wieś, dopiero życie tu, kontakt z naturą, rytmy przyrody, fazy księżyca, wiatr i słońce uczyły mnie bycia „eko”. Niemcy czy Holendrzy kupując dom na wsi są świadomi. Bardzo młodzi ludzie potrafią piec chleb, hodować kozy, robić sery i dokładnie wiedzą czego chcą.

Czy nasza sztuka to rytuał? My nazywamy to Świętem. Klinika Lalek niesie święto. Kiedy to się zaczyna? Ideałem jest, kiedy święto jest cały czas, aby każdy dzień był świąteczny. W zwykły czwartek nakryć stół białym obrusem, zapalić świece i wspólnie spożyć posiłek. To lubimy, Latem jeść na dworze, wieczorem spotykać się przy ognisku, razem zasiadać do szycia, stawiać wiatrak, pracować w polu. Wszystko może mieć świąteczny wymiar. Zaciera się różnica między Życiem i Teatrem. I dlatego myślę, że nasz teatr, nie wiem, dobry, czy zły, ale na pewno jest prawdziwy, bo wyrasta z życia. A życie tutaj często jest teatrem, zresztą czyż Natura sama nie jest cudownym spektaklem?

Jesteśmy aktorami, twórcami lalek, rekwizytów, muzykami i obsługą techniczną. Te wielkie lale na zdjęciach są zrobione ze styropianu, pokryte warstwami papieru z klejem. Ale najnowsze, które robimy – ptaszory – wylepiamy z gliny, która oklejana warstwami szmat z klejem stanowi tylko podstawę, z której zdejmuje się gotowy, wyschnięty łeb ptaszora. Kostiumy też oczywiście robimy sami, w długie, zimowe wieczory. A surowce na lale, rekwizyty i kostiumy prawie w stu procentach pochodzą z odzysku: ze złomu, starych maszyn, przerabianych ubrań, gliny z lasu.

Poruszanie się w lalach niby nie jest trudne. To nic trudnego przypiąć sobie lalę jak plecak i w niej żyć, ale aby uzyskać odpowiednią ekspresję, trzeba się nieźle nagimnastykować. Granie spektaklu w lalce to świetny sposób na wyleczenie się z przeziębienia. Po wyjściu z lalki okazuje się zawsze, że wraz z siódmymi potami wyszła choroba.

Każdy może z nami zagrać. Jeśli tego naprawdę chce, to zagra. Był taki sezon teatralny, że na każdą akcję zjeżdżało około 30 osób, zasiadaliśmy w kręgu, każdy dostawał zadanie na wieczorny spektakl, omawialiśmy całość i tak to szło. Teraz wolimy pracować w gronie osób, które cały czas ze sobą żyją, wspólnie tworzą wszystkie sfery teatru. I nie jest to łatwy teatr. Trzeba być tragarzem, lizolem, wiele godzin przed spektaklem rozpoczynać zakładanie instalacji, trzeba robić kostiumy, lale, makijaże. Po spektaklu, który zwykle przeciąga się w koncert, ognisko, tańce i zabawę z publicznością, znów 3 godziny pakowania. Ale każde przedstawienie traktujemy bardzo rytualnie. Wkładamy w nie całe nasze serce, a części nas samych darujemy publiczności. Każde wyjście do niej poprzedzamy kręgiem połączonych dłoni (kumulacja energii), spektakl kończy się podzieleniem chlebem z ludźmi. Jednego roku wyruszyliśmy w trasę z teatrem o wschodzie słońca i to był początek. Zapewne początkiem innej spektaklowej rzeczywistości jest nasz krąg energetyczny. Ale tak naprawdę to nie ma początku ani końca.

Nie ma wśród nas katolików. Ale chodzimy do kościoła. Chodzimy rytualnie. Żeby zaznaczyć nasze pozytywne nastawienie do ogólnie przyjętych norm postępowania na wsi, żeby kontynuować tradycje: święcić jaja na Wielkanoc, odśpiewać Pastoralki na Boże Narodzenie. Zorganizowaliśmy też w zeszłym roku koncert w wolimierskim kościółku. Wystąpił zespół muzyki dawnej „Opus Fuga” ze Świeradowa dzieciaki w średniowiecznych strojach, z zabytkowym instrumentarium. I część osób się zachwyciło, ale zatwardziała opozycja zachowała sceptycyzm.

Czy wieś coś z nas ma? Kiedy zorganizowaliśmy pierwszy Festyn Letni w 1991 roku wielu ludzi mówiło, że to pierwsza zabawa w Wolimierzu od 14 lat, kiedy to doprowadzono asfalt i odbyła się potańcówka. Potem robiliśmy dziesiątki zabaw i festynów, na które przychodzili starzy mieszkańcy wioski. Dla starych mieszkańców specjalnie zapraszaliśmy zespół „Pogórzanie”, pokazywaliśmy nasze spektakle, parady przez wieś, ów koncert w kościele. Kiedy organizowaliśmy Ekotopię, nasze babcie obawiały się zlotu narkomanów, skinheadów, itp. Pisaliśmy więc szczegółowe informacje o obozie, a także o naszych tu, w Wolimierzu planach i wynikających z tego korzyściach dla całej wioski: począwszy od sprzedawania wyrobów rolniczych turystom, poprzez eko-agroturyzm, czyli przyjmowanie gości i dodatkowy z tego zarobek, aż do ogólnego rozwoju wioski w kierunku łagodnej turystyki, ekologii i sztuki. Taki list był rozdawany i wywieszany. Ale trudno przekonać do naszych działań osoby, które np. potrafią zrobić karczemną awanturę, na środku drogi, z powodu odsłoniętego pępka w środku lata, na dodatek całkiem obcej osobie.

Ekotopia się odbyła. Całkiem grzecznie i cicho, ku zadowoleniu policji i straży granicznej, której nieliczni, bo w ilości 5 na gminę, funkcjonariusze ostrzegali lojalnie, że nie mają zamiaru stawiać czoła bandzie skinów. Od wioskowej opozycji nie usłyszeliśmy dobrego słowa. Ale reszta wsi, np. najbliżsi sąsiedzi stacji byli częstymi gośćmi obozowiska, brali udział w warsztatach i koncertach. To z kolei była próba edukacji ekologicznej dla wsi, którą pragniemy rozwijać. Nic tak nie działa jak dobry przykład, no i sołtys buduje sobie wiatrak!

A nasz dom? Bardzo go kochamy. Dużo, dużo pracy włożyliśmy w tę zapyziałą ruinę, jaką był. Teraz Energia jest nasza, dobrze się tu czujemy. Ale ja, wiosną, latem i jesienią to najbardziej kocham przestrzeń dookoła: mój ogród, sad, łąki i dalej pola, las. Tym niemniej uważam, że najistotniejsze to mieć „dom – czyli spokój” w sobie.

Myślę sobie, że prędzej czy później ktoś dowiedziałby się o tanich domach w Wolimierzu i dobrze się stało, że to właśnie my i nasi przyjaciele tchnęli tu młodość, miłość i energię.

A nasi rodzice? Bardzo wielu często nas odwiedza. Pomaga, bawi dzieciaki, niektórzy mieszkają nawet długo. Wielu dziwi się, że wybraliśmy niewygodę i zimno. Ale pomagają. Ci zagraniczni pomagają w widoczny materialnie sposób. I też odwiedzają. A dziś Oskar i jego mama kupili piękny, różowy dom koło kościoła i mama Oskara przeprowadza się na stałe. A tata Mariana też chciałby mały domek...

I jeszcze coś na koniec (którego tak naprawdę nie ma): W każdą pełnię, w kolejnych domach, spotykają się kobiety. Czynią pozytywne działania, palą ogień, rozmawiają. Odprawiają rytuał. Przy takich okazjach powstają, świąteczne stroiki na stację, ozdoby choinkowe ze słomy, dyniowe świeczniki na Halloween (święto z USA), obywają się wspólne zbierania ziół, kamieni szlachetnych. produkcja powideł i wiele, wiele innych równie czarownych rzeczy.

Jesteśmy społecznością wciąż i zawsze otwartą. Każdy może przyłączyć się do nas. Każdy może od nas się uczyć, a także wnieść do Królestwa swój udział. U nas i z naszą pomocą można organizować święta, plenery, warsztaty i spotkania.

Przyjmujemy z radością rolnika do prowadzenia gospodarstwa ekologicznego. Nasz adres: Wolimierz 53, 59-814 Pobiedna

Na podstawie nadesłanego opowiadania Jemioły

Spisała Marta Lelek